

*Niebieskie
migdały*

W serii

Romuald Pawlak *Póki pies nas nie rozłączy*
Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Niebieskie migdały*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak



*Niebieskie
migdały*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Text © copyright by Katarzyna Zyskowska-Ignaciak, 2011
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2011

Layout okładki *Olga Reszelska*

Zdjęcia autorki *Bartek Ignaciak*

Zdjęcia na okładce:

©iStockphoto.com/Ivan Kruk

©iStockphoto.com/Anton Ignatenco

Dla B.

Rozdział pierwszy,

*w którym się dowiadujemy, że poród to szok dla dziewczyny...
ale większy dla jej krewnych i znajomych.*

Do przestronnego wnętrza wszedł jasnowłosy mężczyzna. Mógłby uchodzić za interesującego, gdyby nie bijąca od niego dziwna rezygnacja. Czuł się bardzo zmęczony, choć była dopiero siódma rano. Bez emocji rozejrzał się po przedpokoju. Sterylność wyłożonego terakotą pomieszczenia zawsze go irytowała, a szarobiały minimalizm – przytłaczał. Na dworze panował upał, jednak w mieszkaniu było zimno. I nie chodziło tylko o aranżację apartamentu, lecz o atmosferę. O wręcz smutnej i jałowej pustki.

Mężczyzna zdjął buty, żeby niepostrzeżenie przemknąć do kuchni. I ta sztuczka prawie mu się udała. Prawie, bo gdy znalazł się na progu, ujrzał przy stole swoją żonę.

– Co się tak skradasz? Jak złodziej! – przywitała go niechętnie i skrzywiła ładne usta w grymasie niezadowolenia.

Miała proste, bardzo jasne i błyszczące włosy do ramion, niewielki nos, wystające kości policzkowe oraz szare, duże jak u dziecka oczy z nienaturalnie długimi rzęsami. Takimi rzęsami, które w naturze wprawdzie nie występują, lecz są

dostępne za tysiąc złotych w każdym ekskluzywnym gabinecie kosmetycznym.

– Nie chciałem cię obudzić.

– Nie kłam. Wiesz, że nigdy nie śpię o tej porze.

Rzeczywiście była już ubrana i umalowana. Z rozdrażnieniem bębniła czerwonymi paznokciami o szklany blat stołu. Z jej twarzy wiało chłodem.

„Tu jest jak w prosektorium – pomyślał. – Jeszcze chwila i z ust zaczniesz mi lecieć para”.

– Kochanie – próbował ją uspokoić bez przekonania. – Siedzisz tu tak cicho... Naprawdę myślałem, że jeszcze śpisz.

Chciał ją pocałować, ale kobieta odwróciła głowę.

– Daj spokój. I przestań być taki... Łzawy. Matko! Mógłbyś choć raz zachować się jak mężczyzna – powiedziała gniewnie. – Jesteś taki, taki... Nawet kiedy ktoś cię opluwa, mówisz, że to deszcz pada...

– Nie kłóćmy się. – Opadł na krzesło naprzeciwko, uświadamiając sobie, że zupełnie stracił apetyt. – Jestem taki zmęczony.

– Oczywiście, ty zawsze jesteś zmęczony! Co ja sobie myślałam, kiedy za ciebie wychodziłam? Przecież ty masz temperament lemura. I ten ciągle zdziwiony wyraz twarzy. Jakbyś nie rozumiał, co się do ciebie mówi. Jeśli z tobą zostanę, zmarnuję życie. Swoje najlepsze lata. Rozumiesz?

Wstała szybko i nie czekając na odpowiedź, rzuciła przez ramię:

– Pewnie jak zwykle straciłeś poczucie czasu i nie pamiętasz, że jest sobota. – Zabrała gazety, a filiżankę po kawie wstawiła do zmywarki. – Wyjeżdżam. Wracam jutro wieczorem.

Mężczyzna na chwilę oprzytomniał.

– Dokąd?

– Litości! – Wymownie podniosła oczy ku niebu. – Mówiłam ci przecież tysiąc razy. Do spa. Z moją siostrą.

„Nic nie mówiłaś” – pomyślał, lecz ku własnemu zdziwieniu odetchnął z ulgą. Jeszcze rok temu pobiegłby za nią, może próbował przeproszać za błędy, których nie popełnił, ale teraz...

Usłyszał trzaśnięcie drzwi.



– Karolina... – wyjęczała Ina. – Karolina, to chyba juuuuż!

– Spokojnie. – W słuchawce rozległ się zaspany szept przyjaciółki. – Połóż się i zacznij zapisywać częstotliwość skurczów. Zobaczysz, pewnie wszystko się wyciszy. Tak jak wczoraj.

– Wyciszy?! Wody mi, kurna, odeszły! Się wyciszy, jak urodzę!

W odpowiedzi dało się słyszeć potok przytłumionych słów wyrzucanych z prędkością serii z karabinu maszynowego: „Cholera, cholera, Radek, wstawaj, cholera, zaczęło się!” i od-

głosów nerwowego bieganina po mieszkaniu. Po chwili Karolina znów odczuwała się do słuchawki, tym razem nienaturalnie spokojnym głosem psychoterapeuty:

– Ina, kochanie, bez paniki. I pamiętaj o oddychaniu. Oddychaj!

– Przecież oddycham. To chyba ty masz z tym jakiś problem. Strasznie dyszysz mi w ucho.

– Nic wymądrzaj się. – Przyjaciółka zaczerpnęła głośno powietrza, bo rzeczywiście ostatnie zdanie wypowiedziała na bezdechu. – Ubierz się i dopakuj torbę... Albo nie. Nie! Jak przyjadę, to ci pomogę. Będziemy za piętnaście minut. Nic ruszaj się z łóżka.

– No pewnie. – W głosie Iny słychać było rozpacz. – Mam leżeć w tej kałuży? Zgłupiałaś chyba!

– No to czekaj w wannie. Zresztą nie, może nie w wannie, bo jak się, nie daj Bóg, wywrócisz, to... Nie wchodź do wanny! Słyszysz?! W żadnym wypadku, za żadne skarby świata nie wchodź do wanny! Po prostu czekaj! Nic nie rób! Radek, gdzie są klucze do samochodu? Będziemy... Radek... No gdzie są te pieprzone kluczyki...?! Będziemy za kilka minut. Tylko spokojnie.

Ina odłożyła słuchawkę.

„Spokojnie” – pomyślała z sarkazmem, z trudem podnosząc się z łóżka. Rzuciła okiem na białe łóżeczko stojące w kącie pokoju i nagle do niej dotarło.

„Matko, to już! Już nie ma odwrotu!”.

Nie czuła jeszcze skurczów. Coś ją mrowiło w dole brzucha, ale było to wrażenie dość delikatne, podobne do tego, które kilka dni wcześniej wywołało u niej panikę. Jednak wtedy to nie było właściwe „już”, tylko skurcze przepowiadające, jak jej fachowo wytłumaczył lekarz. Organizm przygotowywał się do porodu. Teraz za to nie miała żadnych wątpliwości – zaczęło się.

Z szafy wnekowej w przedpokoju wyjęła wiadro z mopem i próbując zachować pogodę ducha, zabrała się do wycierania podłogi. Kątem oka spojrzała w duże, stare lustro. Olbrzymi brzuch zupełnie nie pasował do jej drobnej postaci, a zbyt dziecięce rysy twarzy sprawiały, że wyglądała jak mała dziewczynka. Dwudziestoośmioletnia dziewczynka w ciąży. I z mopem.

Przez całe dorosłe życie nie mogła bez okazania dowodu kupić butelki wina, a teraz, kiedy od wielu miesięcy jej ciąża była widoczna, musiała wysłuchiwać na ulicy kąśliwych komentarzy: „Co za czasy, dzieci rodzą dzieci”.

Nie zdążyła zetrzeć drugiej serii wód, które chlusnęły, gdy właśnie uporała się z pierwszą, kiedy w drzwiach stanęła Karolina. Jej elegancka przyjaciółka miała na sobie dzinisy, sportową bluzę narzeczonego, a na nogach – o zgrozo – buty na płaskiej podeszwie. Burza rudych włosów, skręconych w miliony spiralek, opadała jej na oczy.

– No nie patrz tak na mnie – powiedziała z wyrzutem. – Spieszyłam się. Przecież jadę odbierać poród.

– Towarzyszyć przy porodzie – sprostowała Ina. – Choć jak jeszcze trochę tu postoiemy, nie zdążę do szpitala i rzeczywiście zostaniesz położną.

– O matko jedyna! Czujesz już główkę?

– No oszalałaś do reszty – westchnęła dziewczyna.

Nagle w drzwiach pojawił się półprzytomny z niewyspania Radek.

– Jak tam, Ina? Rodzimy?

Odpowiedziała mu narzeczona:

– Rodzimy, rodzimy. Człowieku, ile można parkować? Dopakuj jej torbę, a Ina do łazienki. Będę cię trzymać, żebyś orla nie wywinęła.

Przyjaciółka nie tylko pomogła Inie się umyć, ale w dodatku ją umalowała – aby noworodka poraził widok pięknej matki. Ina nie rozumiała sensu tych zabiegów, bo było jej wszystko jedno, jak wygląda, jednak nie zamierzała dyskutować. Nic z Karoliną – dyrektor do spraw rentowności i kosztów dużego banku, która żelazną ręką trzymała swoich podwładnych. Jeśli uznała, że rodząca kobieta musi odpowiednio się prezentować, trudno. Zresztą Ina potrzebowała teraz czyjś goś wsparcia. Nawet jeśli to wsparcie niewiele miało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Po dłuższej chwili, jaką normalnej kobiecie zajmuje makijaż, siedziały w aucie, które pewnie i szybko prowadził Radek. Ulice były puste, więc do szpitala dojechali błyskawicz-

nie. Szalony pomysł Karoliny – że przyjaciółka na pewno urodzi w samochodzie i zostanie opisana w prasie – ku radości Iny nie doszedł do skutku.

O ile ulice o tej porze były wymarłe, o tyle na porodówce tętniło, a właściwie kopało i wierzgało życie. Że też dzieci lubią rodzić się po nocy – jakby nie mogły poczekać do rana. Przech tłum przerażonych mamus w różnym stopniu zaawansowania porodu Ina, podtrzymywana przez Karolinę, przedarła się do rejestracji.

Przyjaciółka zaczęła bez tchu:

– Rodzimy! Wody nam odeszły!

– Dzień dobry – powiedziała flegmatycznie siostra dyżurna, nie podnosząc nawet wzroku znad ekranu komputera. – Jak to: rodzimy? Obie? Która z pań?

– No przecież nie ja – rzekła zdegustowana Karolina, dotykając odruchowo płaskiego brzucha wypracowanego na jakimś szatańskim urządzeniu z telezakupów i piorunując siostrę spojrzeniem. – Ani nie on. – Wskazała stojącego pół kroku za nimi Radka, uginającego się pod ciężarem torby kolosalnych rozmiarów.

– Jak rozumiem, pan jest szczęśliwym tatusiem? – zapytała spokojnie pielęgniarka.

– Tatusiem? – Karolina zrobiła niezbyt mądrą minę. – Może wygląda dość... hmm... poważnie, ale zaręczam pani, że to nie mój ojciec, tylko narzeczony!

Siostra, z wyrazem twarzy osoby, która nie takie rzeczy w życiu widziała, ogarnęła czujnym spojrzeniem całą trójkę, po czym, ignorując Karolinę, zwróciła się do Iny.

– Czyli to nie jest ojciec dziecka?

– Nic. – Ina pokręciła głową.

– A więc kim są dla pani ci państwo?

Tu pielęgniarka wskazała przestępującą niecierpliwie z nogi na nogę Karolinę i Radka.

– To moi przyjaciele. Będę rodzic z przyjaciółką.

Kobieta wzniosła oczy do nieba.

– To miej cię, Panic, w swojej opiece! – oświadczyła z dezaprobatą, po czym dodała: – Kiedy odeszły wody?

– Niecałą godzinę temu! – rzuciła Karolina.

Siostra posłała jej karcące spojrzenie.

– Rodzącą pytałam.

– No... Jakieś czterdzieści pięć minut temu – powiedziała niepewnie Ina.

– Skurcze?

– Co cztery minuty.

– No to mamy czas. Proszę mi podać swoje dane, a zaraz przyjmie panią lekarz.

Podczas gdy Ina posłusznie wręczała dyżurnej kolejne dokumenty, Karolina nerwowo przemierzała korytarz, co chwilę rzucając kilka słów w stronę Radka.

– Ja nie wiem, jak oni tu pracują. Przecież zanim Ina wypełni te wszystkie papiery, sama zdąży zająć w ciążę i urodzić.

I rzeczywiście trochę to trwało, nim pojawił się lekarz – ogłaszając wszem i wobec akcję porodową za rozpoczętą. Wcześniej oddziałowa zdołała zmusić Inę do zmycia świeżo zrobionego manikiuru – na wypadek gdyby coś poszło nie tak, „bo na paznokciach najłatwiej zauważyć zasinienia” – a przemiła położna zaprowadziła ją na salę. Minęła następna godzina i dyskretnie dotąd ćmienie w dole brzucha zaczęło przechodzić w uciążliwe klucie.

Karolina była nicoceniona. Odesłała Radka do domu, a sama, po wtargnięciu na porodówkę, pomogła Inie włożyć zieloną koszulę nocną z żółtą aplikacją przedstawiającą żyrafę. Nie mogła się jednak powstrzymać przed wygłoszeniem krytycznej uwagi:

– Mało seksowna.

– Temu mężczyźnie naprawdę będzie wszystko jedno – wystękała Ina, dotykając ogromnego brzucha, który znajdował się niebezpiecznie blisko jej kolan. – Dzieci przez pierwsze tygodnie niewiele widzą.

– Zgłupiałaś. O przystojnych lekarzach myślę...

– Jak mnie zobaczą z rozwarciem na dziesięć palców, to i tak nikt się nie skusi. Nawet gdybym wskoczyła w czarne koronki i lateks.

– Wróżę ci staropanieństwo – zawyrokowała grobowym tonem jej przyjaciółka.

W tej samej chwili na salę wróciła położna.

– I jak tam skurcze, pani Balbino...?

– Ino – poprawiła ją dziewczyna. Nienawidziła imienia, na które kiedyś uparła się jej ekscentryczna matka. – Coraz częstsze. I boli okropnie.

– Rozwarcie na trzy palce – oceniła położna. – Daleka droga przed nami.

Ale nie miała racji. Już pół godziny później Ina darła się wniebogłosy, nie szczędząc wymyślnych obelg osobnikowi, który tak ją urządził, a później zostawił – i teraz na pewno czaruje kolejną naiwną.

– Żeby go piekło pochłonęło – tu kilka razy odetchnęła głęboko, jak ją nauczyli w szkole rodzenia – tego Wszawego Psa!

– Nie tłum swoich uczuć, kochanie – powiedziała Karolina, ściskająca ze współczuciem ramię przyjaciółki. – Myślę, że określenie „pies” jest zbyt łagodne. No i obraża poczciwe zwierzęta...

Ina ponownie odetchnęła, podskakując na dużej piłce, która podobno miała w czymś tam pomagać, ale jak dotąd żadnych cudów nie zdziałała. Nadszedł kolejny skurcz. I tym razem rzeczywiście sobie pofolgowała.

– Kuuuurwaaaatooooochujjceceden...! – zawyla przeciągle i na jej twarzy znów zagościł spokój.

Miała parę bezbolesnych sekund, żeby zebrać myśli.

– Karolina! Ja nie wytrzymam, naprawdę nie wytrzymam! Muszę dostać znieczulenie.

Przyjaciółki nie trzeba było długo przekonywać. Zostawiła rodzającą, podrygującą jak w transie na błękitnej kuli, i wybiegła na korytarz.

– Znieczuleniaaaaa! Potrzebuję znieczuleniaaaaa!

Ktoś ją surowo przywołał do porządku, przypominając, że znajduje się na porodówce, gdzie wrzeszczeć mogą tylko noworodki i ciężarne, a nie ich niezrównoważone przyjaciółki. Interwencja przyniosła jednak oczekiwany skutek, bo chwilę później na salę weszła miła położna.

– Zaraz przyjdzie lekarz, ale musi się pani przygotować psychicznie. Zastryk jest w plecy, w kręgosłup. Bez względu na skurcz nie może pani nawet drgnąć. – Kobieta pomogła Karolinie usadzić Inę na łóżku.

– Mogą mi się wbić wszędzie, w kręgosłup, w ucho, nawet w oko. Żeby już tylko mnie nie bolało...

Znów zaczęła jęczeć, a wstrząśnięta Karolina poprzyjęła sobie, że z seksem koniec – jeśli harce z facetem mają takie skutki... Z ponurych rozmyślań wyrwał ją jednak kolejny zwrot akcji. Na salę wszedł lekarz. Bardzo przystojny lekarz. A prawdę mówiąc, piękny jak grecki bóg. Chociaż nie, Grecy mają ciemną karnację. A więc jak nordycki bóg. „Istny Odyn!” – przemknęło przez myśl Karolinie.

Doktor wymruczał coś jakby „Dzień dobry paniom” – a może to było raczej „Dajcie mi wszyscy święty spokój” – i nie patrząc na żadną z dziewczyn zaczął przygotowywać